

Opowieść o Kaukazie



Wojciech Górecki, *Toast za przodków*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010

„To jest opowieść o Azerbejdżanie, Gruzji i Armenii – trzech krajach, które wchodziły w skład Związku Radzieckiego, a obecnie z mozołem budują własne państwa” – tymi słowami Wojciech Górecki rozpoczyna swój kaukaski reportaż. *Toast za przodków* to jednak nie tylko historia pogranicza komunistycznego imperium; to przede wszystkim niespieszna opowieść o trzech niespotykanych ambitych narodach, którym historia nakazała

wspólnie zamieszkiwać najmniejszy kontynent świata – Kaukaz.

Wojciech Górecki podróżuje w swej książce po rzeczywistości i mitach wciśniętego między Zachód i Wschód, między góry i morza Kaukazu Południowego. Pasjonuje go przejściowość i peryferyjność regionu, który jednocześnie tak często zajmuje centralne miejsce w serwisach informacyjnych. Autor zastanawia się, czy Armenia, Azerbejdżan i Gruzja leżą w Europie, czy w Azji. I choć na to pytanie nie otrzymamy jednoznacznej odpowiedzi, *Toast za przodków* dostarczy nam innych informacji i wrażeń.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza, dłuższa, jest poświęcona Azerbejdżanowi, w którym autor spędził pięć lat jako dyplomata. Ten kraj, w Polsce chyba najmniej znany spośród republik kaukaskich, wydaje się być reporterowi najbliższy. Część typowo reporterska przeplata się z opisem historii republiki. Integralnym elementem opowieści są *Dzienniki bakijskie*, pisane przez autora w trakcie pobytu w azerbejdżańskiej stolicy. Rozdzielają one poszczególne rozdziały tematyczne i zawierają rozproszone wątki, zawsze jednak związane z głównym tematem – z tożsamością mieszkańców. Druga część przybliży Armenię i Gruzję. Początkowe wrażenie skrótowości opisu, zwłaszcza w zestawieniu z powolną opowieścią z Azerbejdżanu, znika wraz z przemierzaniem kolejnych stron książki. Wspólnie z autorem możemy poczuć inny klimat Kaukazu – widzianego w podróży, dynamicznie. Dodatkową zaletą obu części jest wykorzystanie bogatego materiału historycznego, który pozwala zrozumieć zawile dzieje regionu.

Toast za przodków rozpoczyna pytanie o europejskość lub azjatyckość Kaukazu, po chwili docieramy jednak do kwestii o wiele istotniejszej – pytania o prawo do ziemi kaukaskiej, o najstarszy rodowód w regionie: „Jak dowieść praw do ziemi? Na Kaukazie trzeba mieszkać na niej od zawsze – od stworzenia świata, a przynajmniej od Potopu i arki Noego”. Gruzinom i Ormianom przychodzi to łatwo – mają status pierwszych schrystianizowanych państw na świecie (oba przyjęły chrzest już w IV wieku) i na dowód wspaniałe świątynie z wczesnego średniowiecza. Islamski Azerbejdżan jest, wydawałoby się, na straconej pozycji. Przecież Arabowie niosący tę wiarę pojawili się na Kaukazie dopiero w VII wieku! Dlatego „Ormianie mieli Azerbejdżan za przybłądów, którzy rozgościli się w cudzym domu, założyli nie swoje ubrania i udawali gospodarzy. Na szczęście do walki ruszyli azerbejdżańscy historycy i archeolodzy”. Wskreszili mit Albanii Kaukaskiej, starożytnego państwa, które przyjęło chrześcijaństwo w pierwszych wiekach naszej ery – państwa zajmującego, rzecz jasna, terytorium dzisiejszego Azerbejdżanu. Uczeni z Baku odnaleźli w Udinach, jednej z lokalnych mniejszości etnicznych, „brakujące ogniwo między Albanią a Azerbejdżanem”, własnych starożytnych Kaukazczyków. Szanse się wyrównały, rywalizacja pozostała, „albański mit zderzył się z mitem Wielkiej Armenii. Konflikt karabaski toczył się jednocześnie w dwóch wymiarach: współcześnie i w głębokiej przeszłości”.

Rozdarcie pomiędzy Europą i Azją autor dostrzega na szczytach władzy. Zachodni

styl symbolizuje jeden z wiceministrów Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej (istniejącej w latach 1918-1920), który „rozliczał się z każdej kopiejki, na przykład za przejazd dorożką”; wschodnie obyczaje utwierdzał Wódz – Hejdar Alijew, niedawny prezydent tego kraju. Jedną z największych zalet pierwszej części *Toastu za przodków* jest studium władzy dyktatorskiej Wodza. Razem z Wojciechem Góreckim obserwujemy, jak Alijew „upaja się władzą, jak spija jej narkotyzujący nektar i jak ciągle mu mało”. Autor przenosi nas do świata współczesnego Wschodu, gdzie wciąż „musi być jeden chan, sekretarz, prezydent, inaczej wszystko się rozłązi”. Prezydent „wszystko wie, wszystko kontroluje, czyta wszystkie gazety i ma na wszystko baczenie”.

W Azerbejdżanie, podobnie zresztą jak u jego kaukaskich sąsiadów, po upadku Związku Radzieckiego powstała republika prezydencka. Hejdar Alijew, nowy-stary przywódca (wcześniej rządzący republiką jako I sekretarz lokalnej mutacji radzieckiej partii komunistycznej), rządził swym krajem w stylu eklektycznym: składał ukłon demokracji (partie opozycyjne istnieją i mają siedziby w samym centrum Baku), autorytaryzmowi (jego partia zmonopolizowała parlament, a wybory były regularnie fałszowane) oraz klanowości (przed śmiercią zdążył przekazać władzę synowi). Mając państwo, zaczął budować naród i jego historię. Dlatego Azerbejdżan ponownie opisuje własne dzieje (Albania Kaukaska), korzystając z *necessary fictions* – koniecznych wymysłów, jak nazywają je badacze postkolonializmu. Dzięki Wojciechowi Góreckiemu widzimy, jak proces

ten przyspieszył po 1991 roku. Autor nie krytykuje jednak tego zjawiska: „Musiało się tak stać. Tak dzieje się zawsze, gdy idzie się na skróty – bo w ciągu paru lat trzeba nadrobić stulecia. Gdy pospiesznie tworzy się mity i tradycje, gdy historycy pracują na akord. Gdy buduje się naród od góry”.

Górecki pokazuje życie w Azerbejdżanie w całej rozciągłości. Obok bogactwa nowych biznesmenów, które „musi kłuć w oczy, błyszczyć, oszałamiać”, widzimy „życie uchodźców z Karabachu zasiedlających obskurne bloczkyła w środku miasta, zawsze obwieszane suszącą się bielizną, a w nocy rozświetlone feerią stuwatówek, bo przesiedleńcy nie płacą za prąd”. Widzimy silne przywiązanie do tradycji, jak w przypadku pielgrzymowania do Pirów, ludowych świętych miejsc, grobów świętych mężów. Ale poznajemy także wysokogórską wioskę Hinalug, do której zbudowano drogę. Drogą dotarła cywilizacja i komercja, która uczyniła z tradycji towar na sprzedaż. Górecki konkluduje: „Pomyślałem, że starcy z Gunibu w Dagestanie, którzy nie chcieli drogi, bo drogą idzie z miasta zepsucie, mieli rację”.

Wschód i Zachód, ta nieustająca opozycja, powraca niemal w każdym temacie, autor pokazuje ją nawet na przykładzie dwóch braci: „Arzuman skończył klasę z językiem azerbejdżańskim. Kerim uczył się w tej samej szkole, ale w klasie rosyjskiej. Arzuman należał do świata Orientu, Kerim był człowiekiem Zachodu. Pewnie nigdy się nad tym nie zastanawiali. Zdecydował przypadek, może wybór tej, a nie innej klasy w szkole, a może jakaś cecha charakteru albo usposobienia”.

Druga część reportażu przenosi nas do Gruzji i Armenii. Z opowieści wyłania się obraz dwóch najstarszych państw chrześcijańskich i dwóch narodów, które mimo bliskości geograficznej, wielu wspólnych elementów kulturowych (oboma krajami rządziła dynastia Bagrationich-Bagratydów), a często zbieżnej historii, diametralnie różnie podchodziły do swego losu: „Gdy nadchodziły ciężkie czasy, Ormianin brał swój kij i szedł w dalekie kraje, podczas gdy sąsiad jego, Gruzin, który także przyjął chrześcijaństwo, postępował w takich wypadkach inaczej – pozostawał w swoich dolinach albo chronił się w pobliskich górach, gdy prześladowania stawały się nie do wytrzymania”.

Pozostając na miejscu, Gruzini wyrobili w sobie niezwykłą dumę z własnego kraju i jego historii, niezależnie od tego, kto je reprezentował. Ten stosunek symbolizuje postać Stalina, obecnego na pomnikach oraz w sercach wielu Gruzinów. Za Stalina nierzadko należy wypić toast, choć autor czyni to „z zaciśniętymi zębami i prosząc Boga o wybaczenie”. Wojciech Górecki nie dziwi się zatem, gdy jeden ze sponsorów instytutu zajmującego się studiami nad osobą dyktatora stwierdza: „W Gruzji wielu biznesmenów to stalinowcy, w ich firmach panuje porządek, a wszystkie problemy pięknie się rozwiązują”.

Narodowa дума każe Gruzinom sytuować się nie w nieokrzeseanej i nieprzewidywalnej Azji, ale w Europie, najlepiej Południowej. „Gruzini byli zawsze krok do przodu. Jeszcze za Związku Radzieckiego uparli się, że nasz region nie powinien się nazywać Zakaukaziem, tylko Kaukazem

Południowym. Gdzieś na przełomie wieków zaczęli sytuować się w »regionie czarnomorskim«. Na konferencji w Tbilisi, w której uczestniczył autor, jeden z prelegentów dowodził, że „Gruzini są południowcami, jak Hiszpanie, Włosi czy Grecy”. Południowy temperament dobrze ilustruje „Odezwa do narodu amerykańskiego”, wydana przez wybranego w 1991 roku na prezydenta Zwiada Gamsachurdę, w której „domagał się dymisji prezydenta Busha: uważał, że nie rozumie przemian demokratycznych na świecie i nie docenia Gruzji, która pierwsza obaliła komunizm”.

Wojciech Górecki, opisując ten kraj, nie unika odwołań do niedawnych konfliktów, do szeroko opisywanych przez media wojen kaukaskich. Patrzy na nie jednak z innej strony niż reporter przygotowujący *news* do wieczornego wydania wiadomości. Kilka tygodni po konflikcie w 2008 roku odwiedził Gori, spodziewając się widoku miasta zrównanego z ziemią. Tymczasem przekonał się, „jak fragmentaryczny jest świat, który znamy z telewizora. Bo kamera nie kłamie – dom, który płonie na ekranie, płonie naprawdę, a dziewczyna, która zwija się z bólu, naprawdę została ranna i potrzebuje pomocy. Ale za kadrem, nieraz już parę metrów dalej, toczy się zwyczajne życie”. Obok prawdziwych dramatów dostrzega spokój tych, którzy żyją całkiem normalnie.

Natomiast Ormianie mają trzy państwa – przekonuje Wojciech Górecki. Jedno oficjalne i uznane (współczesna Armenia ze stolicą w Erywaniu), jedno nieuznawane (Górski Karabach) oraz trzecie, być może najważniejsze – ormiańską diasporę.

Pierwsze państwo jest położone na skraju Wyżyny Armeńskiej, przez wieki stanowiącej „przechodnie podwórze, na którym niezliczone armie toczyły ze sobą wojny”. Ma trzy wizytówki. Pierwszą jest Erywań, stolica zaprojektowana jako nowoczesne miasto przez architekta Aleksandra Tamniana. Zbudowane zostało z wulkanicznej skały, tufu, który „przypomina pumeks: jest porowaty, oddycha. W domach z tufu nie ma wilgoci, latem taki dom chroni od upałów, a zimą od mrozów”. Drugą wizytówką jest Eczmiadzyn, ormiański Watykan, stolica Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego – Kościoła, który może być tylko ormiański, ponieważ „żeby do niego należeć, trzeba urodzić się Ormianinem. Nie można się przechrzczyć ani nawrócić. Dlatego Ormianin, który przyjmuje inną religię, zdradza nie tylko swoją wiarę, lecz także swój naród”. Trzecią, najbardziej paradoksalną wizytówką jest Ararat. To góra, którą widać z niemal każdego miejsca w kraju, ale która do tego kraju nie należy, jest bowiem usytuowana 30 kilometrów od armeńskiej granicy, już na terytorium Turcji. Ararat widnieje na fladze państwowej, symbolizuje utracone i wciąż nieodzyskane ziemie.

Górski Karabach, nieuznawana przez żadne państwo na świecie republika, jest przejawem determinacji narodu do odtworzenia Wielkiej Armenii. Drugie państwo Ormian odciska nieustające piętno na historii pierwszego. Wszyscy dotychczasowi prezydenci rządzący w Erywaniu wywodzili się z tej prowincji. To problem Karabachu nie pozwala Armenii unormować stosunków z sąsiednim Azerbejdżanem.

Trzecie państwo – diaspora – jest najsilniejsze. „W Erywanii jest Ministerstwo do spraw Diaspory. Diaspora nie potrzebuje ministerstw, ma komitety, partie polityczne, stowarzyszenia, szkoły, drukarnie. Ma pieniądze. Armenia dzieli się na obwody, diaspora dzieli się na kontynenty i państwa”.

Wojciech Górecki dowodzi, że dla Ormianina emigracja nie jest czymś nadzwyczajnym, „jego domem jest cały świat. Ormianie wszędzie byli obcy i wszędzie u siebie. Podobnie jak Żyd, na obczyźnie Ormianin starał się zachować swoje typowe właściwości i zawsze utrzymywał więzi ze swoimi ziomkami”. Fenomen diaspory to jednocześnie zbawienie i przekleństwo współczesnej Armenii, emigranci pielęgnują bowiem w sobie nienawiść do Turków (oskarżanych o ludobójstwo Ormian podczas I wojny światowej) oraz Azerbejdżanu (z którymi wciąż nie zażegnano konfliktu o Karabach). Tymczasem „Ormianie z Armenii od dawna chodzą w dżinsach i kurtkach przywożonych przez Turków całymi kontenerami, uwielbiają Antalyę, coraz częściej odwiedzają Stambuł. W jednym z sondaży połowa była za nawiązaniem stosunków dyplomatycznych bez żadnych warunków wstępnych”. Ale Erywań musi uwzględnić głos przedstawicieli diaspory, gdyż „oni utrzymują ten kraj: inwestują, pomagają. Gdyby przestali, byłby dramat. Nie wolno się z nimi nie liczyć”.

Jeśli wierzyć Hannie Krall, nikt nie zna się na Kaukazie. Czytając *Toast za przodków*, możemy się jednak w Kaukaz wsluchać i wczuć, nie tylko dlatego, że Wojciech Górecki ma ciekawych rozmówców. Zaletą

jego książki, oprócz części reporterskiej, jest bogactwo materiału kulturowego, z którego autor korzystał, opisując region i jego mieszkańców. Kaukaz mówi do nas w *Toaście*... również poprzez swoich wybitnych pisarzy, poetów, reżyserów oraz innych artystów i ich dzieła. Warto dać się zaprosić do tej lektury.

Michał Kuryłowicz

